



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

NA ZIEMI I POD ZIEMIĄ.

(Z wędrówki po kraju)

Puszczając się na wędrówkę po ziemi i pod ziemią, musimy przede wszystkim uprzedzić czytelników naszych, że będzie to podróż niezwykła i że wśród niej przyjdzie nam niejednokrotnie zanurzyć się w głębokie ciemności, wpośród których jedynie lampki, jak błędne ogniki, zamigocą przed nami w przepaścistej otchłani; to znowu spotkać się z tak jaskrawym blaskiem ognia, że widok jego, wzrok nasz tylko pod osłoną szkła błękitnego znieść potrafi, nie wspominając już o rozmaitych innych nadzwyczajnościach, jakie nas spotkają. Ale też za to będziemy mieli sposobność poznać zbliska tę tajemniczą dziedzinę, którą bujna wyobraźnia ludowa po innych krajach zapelniła tłumami karłowatych gnomów, u nas zaś każe jej strzedz tajemniczemu duchowi, zwanemu „Skarbnikiem”.

Otóż sama jego nazwa dowodzi, że muszą tam znajdować się godne strzeżenia skarby. (O! są tam skarby i to nie tak łatwe do opisanie. Od wielu już wieków są one przedmiotem badania dla wielu zasłużonych mężów, zajmujących się bardzo gorliwie nauką, znaną pod imieniem mineralogii. Mając wszelkie prawo sądzić, że i czytelnicy nasi w dalszym ciągu zajęć umysłowych, obeznają się w ściślejszym znaczeniu z tą gałęzią nauk przyrodniczych, pominiemy tu narazie wszelkie uczone wywody, dążąc wprost tam, gdzie skarby te dla dobra ludzkości pomieściła ręka Stwórcy.

— A zatem kto łaskaw, proszę w podróż z sobą!

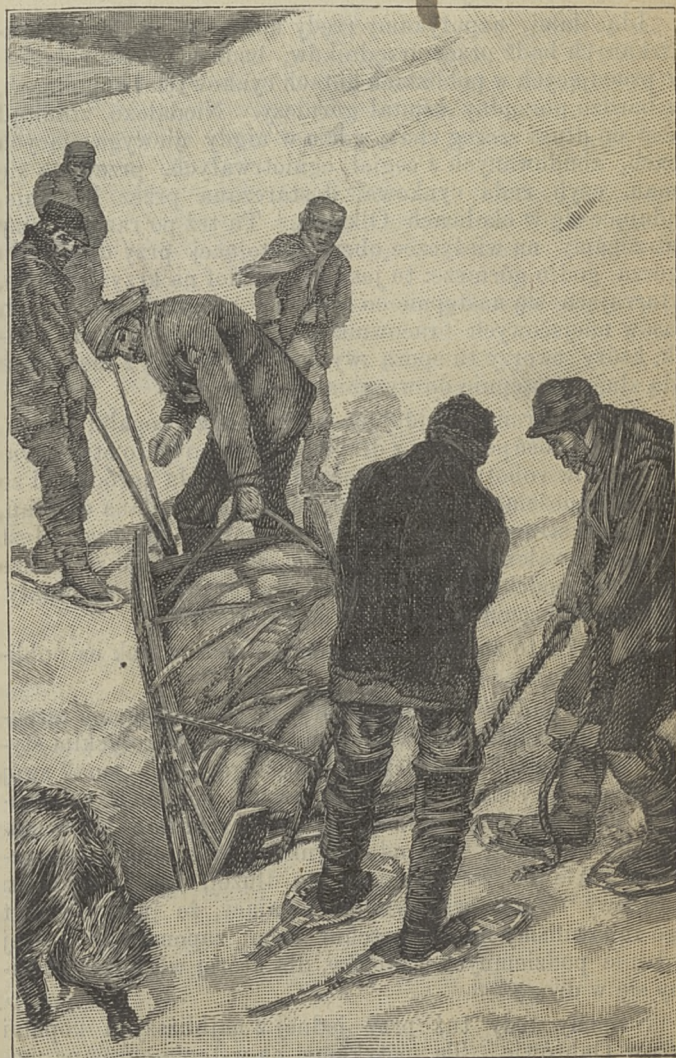
— A dokąd? — zapytacie.

— Ha! prosto przed siebie. Otóż bez żadnych zachodów i pakunków udamy się najprzód na dworzec drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, ztamtąd zaś do stacyi Kolużki, zkąd już najbliższym pociągiem, dążącym po lini Iwangrodzko-Dąbrowskiej, dostajemy się do Dąbrowy, głównej osady zachodniego okręgu górnictwa rządowego.

Jestto właśnie jedna z największych skarbnic podziemnych, zawiera bowiem najznaczniejsze kopalnie węgla kamiennego, który już od lat tyłu jest nietylko główną podstawą wszelkiego przemysłu, ale zarazem źródłem ogólnej wygody i względnego dobrobytu.

Dąbrowa dzieli się właściwie na dwie części, to jest górniczą, w której się mieszczą kopalnie i wszelkie połączone z nimi zakłady — i Starą Dąbrowę, zwykłą siedzibą rolniczą, czyli wioskę, skąpo uposażoną od natury, pod względem gruntu.

Skutkiem zaprowadzenia komunikacji bezpośredniej, za pomocą drogi żelaznej Iwangrodzko-Dąbrowskiej, oraz



...udało im się wyrąbać statek z zapory lodowej i spuścić na morze (str. 47)

wydoskonalenia sposobów wydobywania węgla, z zastosowaniem takowego do właściwego użytku, Dąbrowa górnicza nabrała większego znaczenia, a ludność jej tak dalece w liczbie wzrosła, że już dziś liczy 40,950 mieszkańców, których znajduje się 15,424 stałych, a 25,530 niestałych, należących do różnych narodowości, to jest: 33,707 miejscowej ludności chrześcijańskiej, 2,520 żydowskiej, 2,924 Niemców, 1,318 Francuzów, 16 Włochów, 6 Tatarów i t. d. Cała ta ludność stanowi

wielką gminę, zostającą pod zarządkiem jednego wójta. Pomimo bezustannego dymu, przyćmiewającego błękit widnokręgu, Dąbrowa przedstawia się dość malowniczo dzięki otaczającym ją zewsząd wyniosłym wzgórzom. Z pomiędzy nich najmiej wpada w oko zamożna wieś Gołonóg, z pięknym kościołkiem, górującym wysoko po nad całą okolicą. Znajdująca się u stóp kościoła, wpośród dzikich zarośli, głęboka grota, do której przywiązana jest wruszająca legenda, dała podobno początek nazwaniu tej miejscowości. W niej to bowiem przez lat wiele przemieszkiwał podobno sędziwy pustelnik, wiecznie bosy i twardą włosienicą odziany, który zarówno bogobojnością swoją, jak i dobrodziejstwami świadczonemi ubogim i chorym, zyskał sobie sławę świętobliwości w całej okolicy, i dopiero po jego śmierci dowiedziano się, że był on niegdyś jednym z owych dumnych magnatów, którzy trawili życie na hulankach. Byłby w ten sposób doszedł do ostatecznej moralnej zguby, gdyby w skutek przestróg swego spowiednika, nie nawrócił się na drogę najsurowszej pokuty i zaparcia samego siebie. Ze zaś nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska, przeto od bosych stóp, zwano go Gołonogiem i na jego pamiątkę dano toż samo imię owej wsi, w pobliżu której pędził tak długo pokutnicze życie. Takie jest podanie o miejscowości, gdzie się znajduje dziś tak zwana Dąbrowa kolejowa.

Idąc dalej, napotykamy rzędy murowanych domów, zamieszkałych bądź przez urzędników, bądź też przez robotników, pracujących w pobliskich hutach cynkowych i kopalniach, oraz bardzo porządny szpital górniczy. Niedaleko ztamtąd wznosi się długi szereg chat, gdzie w nigdy niewygasających piecach, zbudowanych z cegieł ogniotrwałych, przetapia się galman, czyli ruda cynkowa, dostarczana przez kopalnie, znajdujące się w okolicach Olkusza. Tu też po raz pierwszy spostrzegamy na wieżyczce oberży, stojącej przy drodze do Zagórza, godło górnicze: to jest młot i kilof na krzyż złożone, powtarzające się następnie co krok na czapkach i klamrach u pasów miejscowych pracowników. Popiół wywożony z fabryk, który tworzy tu sporą wyniosłość, zwaną z niemiecką hałdą służy następnie do wyrabiania alunu.

Cała ta strona, znajdująca się w pobliżu kopalni Reden, wyglądałaby dość pokaźnie z długimi rzędami biało otynkowanymi domków robotniczych, otoczonych dokoła ogródkami ze skąpą roślinnością, gdyby nie głęboka, pozapadana otchłań, otoczona od strony drogi prostą, drewnianą baryerą. Jest to miejsce zawałone już po wybraniu znajdującego się tamże węgla przez podcięcie pali i belek, które tu przedtem istniały, jako podpory broniące kopalnię od zawalenia.

Ale jakież to znowu gmach uderza nasz wzrok na pobliskim wzgórzu?

Jest to budynek przeznaczony na pomieszczenie zarządu górniczych zakładów, wzniesiony niegdyś w gotyckim stylu według planu budowniczego Lanciego, który smak swój artystyczny uwydatnił nawet i w owych domkach robotniczych, rozrzuconych poniżej, przez przybranie ich w malownicze wystawki, dla odpoczynku i wytchnienia mieszkańców. Ale nie zatrzymujemy się dłużej, bo oto dochodzi preraźliwy odgłos świstawki ostrzegającej, że już i tak zbyt długo zabawiliśmy na powierzchni ziemi, zapominając o owej dziedzinie podziemnych skarbów, dla której właściwie puściliśmy się w drogę.

Stajemy tedy tuż przy jednej z najbliższych kopalni węgla w Dąbrowie. Tu spotykamy na wstępie ogromną maszynę o sile 150 koni, zasilaną przez dziesięć kotłów. Ona to jest głównym motorem ruchu całej kopalni, nie tylko bowiem służy do wyciągania wózków z węglem, ale jeszcze i do poruszania windy, którą górnicy spuszczają się do wnętrza. Doniosłość jej łatwo sobie możemy wyobrazić, z tego, iż w ciągu doby, z tej jednej tylko kopalni, wydobywa się 3,000 worków węgla, z których każdy waży 37 pudów. Węgiel ten wydobywa się z głębokości 300 łokci pod ziemią, z tak zwanego szybu, czyli ocembrowanego otworu, którym spuszczają się górnicy, — skąd znów rozchodzą się na różne strony tunele, gdzie się znajdują grube pokłady węgla.

Owa wyżej wspomniana winda ułatwia górnikom wstęp do głębi kopalni; dawniej musieli oni schodzić przy pomocy ogromnej długości drabin; jest to rodzaj wysokiej klatki o niezmiernie silnych prętach, przez które widać przebywaną przestrzeń. Wind takich bywa dwie. Są one przymocowane na odpowiedniej grubości linach w otworze szybu i urządzone w ten sposób, że skoro jedna z nich opuszcza się na dół, druga natychmiast wznosi się ku górze, co się skutecznia za każdym razem zaledwie w przeciągu dwudziestu sekund. Windy te służą przedewszystkiem do wydobywania na powierzchnię worków naładowanych węglem.

Łatwo sobie można wyobrazić, jak ciężką i niebezpieczną jest praca górników. Wsadzają oni prochem lub dynamitem ogromne bryły węgla, albo też wyrabiają takowe ciężkimi, żelaznymi kilofami, podczas gdy młodszy pomocnicy odwożą je natychmiast do miejsca, gdzie się znajduje kolej podziemna, pełna wózków, przeznaczonych do ładowania i ciągniętych przez konie, układane już wcześniej do tego rodzaju podziemnej pracy.

Zagłębie dąbrowskie zawiera około 20 kopalni węgla, które dają zajęcie mniej więcej 12,000 robotnikom, dochodzącym pomimo mozolnych trudów, nieraz do bardzo późnego wieku. Codzienne nawyknięcie czyni tych ludzi mniej wrażliwymi na nieprzejrane ciemności, słabo oświetlone małemi lampkami, umieszczonemi z boku u pasów, a wiara w Opatrzność Boską chroni ich od trwogi i umacnia do wytrwania w pracy. Dzięki ciągłym postępom w górnictwie zdarza się coraz mniej smutnych wypadków po kopalniach dawniej zaś często wywoływały je dwa najgroźniejsze żywioły: ogień i woda.

Wprawdzie w kopalniach naszych z powodu suchego gatunku węgla, niema gazów zapalnych piorunujących, jak w wielu kopalniach za granicą, niemniej jednak ogień jest straszliwym nieprzyjacielem górników.

Czytelnicy nasi, wszyscy prawdopodobnie znają węgiel kamienny, w tak powszechnym będący teraz użyciu i zauważyli może nieraz w nich połysk złotawy, choć może nie zastanawiali się nad jego pochodzeniem, ani nad tem, że po wypaleniu się węgla pozostaje żużel. Otóż ten błyszcz, jest to tak zwany siarek żelaza, minerał, który w zetknięciu z wodą i powietrzem, rozpoczyna proces chemiczny, wydzielający ciepłik, od którego znów zapala się węgiel i szczególnie do tego podatny drobny miał, nie mogący być nigdy całkowicie usuniętym z kopalni. Jest to najgłośniejsza przyczyna powstawania pożarów, przeciwko którym istnieją dwa tylko możliwe środki, to jest wzniesienie grubego muru z cegły ogniotrwałej, dla zatamowania przystępu powietrza, albo też całkowite zalanie wodą zagrożonego miejsca w kopalni. W sposób powyższy wszczął się też w r. 1850 pożar w Dąbrowie, w kopalni Ksawery, który trwał przez lat wiele, wyrządzając ogromne straty.

Woda usuwa się z kopalni, za pomocą tak zwanej sztolni, czyli podziemnego korytarza, idącego pochyło od najszerzego miejsca w kopalni, do niższego jeszcze na zewnątrz niej położonego. W takich sztolniach znajdują się również odpowiednio urządzone maszyny pomocnicze.

(d. c. n.)

KRÓLEWICZ

POWIEŚĆ Z XV WIEKU

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

Zapomniała też o poprzednim swoim rozkazie, ażeby nikt nie śmiał bez jej zezwolenia do komnaty zaglądać, i wołała w gniewnem uniesieniu:

— Wszyscy, wszyscy już z nim trzymacie! Wrogami jestem otoczona! może mi trucizny podacie.

A przebiegając szybkim krokiem komnatę, mówiła:

— Ten, ten nikczemnik! ten wróg! ten!... Ten kruk z pierścieniem! *).

Niewiasty, jakkolwiek przyzwyczajone do nagłych wybuchów gniewu swej pani, tak uniesionej i nie miarkującej się w ruchach i wyrażeniach, nigdy jej jeszcze nie widziały. Spoglądały więc wystraszoną wrokiem, lub oglądały się dokoła, zarówno jak i nianka dostojnego ich wychowawca, czy z załomu okna lub z poza której z ciężkich opon nie wygląda ów zły człowiek, ów wróg z czarą trucizny, na którego królowa tak się miotła. Żadna jednak nie śmiała się do niej przybliżyć i zapytać o jakie rozkazy, lecz zbiwszy się jak spłoszone kuropatwy, trącały się łokciami lub patrzyły na przewodniczącą im ochmistrzynię, czynnie da jakiego znaku. Lecz ochmistrzyni tak samo była przerażona jak jej podwładne. Gorzej nawet, bo nie widząc żadnego niebezpieczeństwa, o którym ciągle wspominała królowa, przyszło jej na myśl czy broń Boże, dostojna jej pani zmysłów nie postradała.

A tak ją ta myśl opanowała, iż gdy Elżbieta coraz srożej miotać się zaczęła, wyrzucać rękami i grozić zacisniętą pięścią, biedna frejlina prawie bezwiednie sama do siebie szepnęła:

— Oszalała!

Lecz szept jej doleciał uszu najbliższej stojącej, więc jedna drugiej zaczęły szeptem podawać:

— Oszalała!

I jeszcze więcej zaczęły się tulić jedna do drugiej. Na poły zaś z przestraszonym, na poły z politowaniem, kiwały głowami, przypatrując się ciekawie wszelkim ruchom nieszczęśliwej swej w ich mniemaniu pani.

— Czenu z was żadnej nie było! — krzyknęła Elżbieta, stając nagle przed zebranymi niewiastami.

— Najjaśniejsza pan!.. — odważyła się przemówić ochmistrzyni.

Lecz Elżbieta nie pozwoliła jej mówić, tylko tupnąwszy nogą, zawołała:

— Cicho! słuchać moich rozkazów!

Ochmistrzyni umilkła, zgięła swą okazałą postać do połowy i pochyliła głowę w głębokim ukłonie, inne niewiasty poszły za jej przykładem i wszystkie w kornej postawie czekały, co dalej spadnie.

Wśród tego oczekiwania, zerkwały jednak ciekawie na chodzącą znów po komnacie Elżbietę, a śledząc jej ruchy utwierdzały się w przekonaniu, iż nieszczęśliwa ich pani rzeczywiście zmysły postradała. Wtem Elżbieta stanęła przed niemi i podnosząc rękę do góry zawołała:

— Rozkazuje, ażeby najjaśniejszego naszego syna Władysława od tej chwili najjaśniejszym królem węgierskim nazywano! Rozumiecie? królem! — wrzasnęła z całej siły.

Niewiasty zwróciły się w stronę, gdzie ów małeńki król głód swój zaspakajał i na znak uszanowania jeszcze niższy oddał pokłon i jeszcze niżej pochylił głowy. Ale jednocześnie karmicielka owego króla zerwała się z siedzenia i huśtając go na rękę, szybkim krokiem oddalała się z komnaty, mówiąc:

— A toć nim on o swoim królestwie wiedzieć będzie, to przy tych krzykach z przestraszu jeszcze zachoruje.

Ochmistrzyni i całe otoczenie usłyszawszy słowa kobiety, nie liczącej się z dworską etykietą, zdretniało z przerażenia.

Frau Cirna, wyprostowawszy się nagle, zbliżyła się do idącej ku drzwiom mamki, lecz ta energicznym podrzuceniem ramienia odsunęła ochmistrzynię, mówiąc:

— Co mi tam te wszystkie ceregiele! jak dziecko zachoruje albo zamrze przy tych pańskich wrzaskach, to mu i królestwem życia nie wrócą!

I nagle stała się rzecz nadzwyczajna:

Elżbieta zamiast rozgniewać się za prostactwo karmi-

cielki, żywo podeszła ku niej, położyła dłoń na jej ramieniu i rzekła:

— Tak, tak, ty tylko jedna, pocziwa Gerdo, dbasz o najjaśniejszego pana, ty tylko jedna nie dasz mu zrobić krzywdy.

Lecz Gerda wcale się nie dała przejednać; skierowała się ku drzwiom, a odrzuciwszy łokciem zasłonę, uniosła drgające z przestraszu niemowlę, a za nią szybkim krokiem wybiegła królowa. Dwór obecny temu nadzwyczajnemu przekroczeniu wszelkich praw przepisanych etykietą, stał chwilę w niemem osłupieniu, nie wiedząc co dalej robić.

Wreszcie ochmistrzyni rzekła:

— Woła, czy nie woła, trzeba iść za nią, boć gdyby się trafiła jaka zła przygoda jej królewskiej mości królowej wdowie lub dostojnemu królewiczowi... chciałam powiedzieć królowi Władysławowi, na nas spadłaby odpowiedzialność.

I pani Cirna cała zafrasowana wyprostowała swą krępa postać i podążyła temi samymi drzwiami, które wyszła Elżbieta. Za ochmistrzynią zaś uszykowawszy się w zwykłym ordynku pospieszyły damy dworu, zwierzając się po drodze jedna drugiej z ogromnego przestraszu, jakiego doznały z powodu rzekomego obłąkania królowej.

II.

Elżbieta, jedyna córka Zygmunta Luksemburczyka i Barbary Cylejskiej, odziedziczyła po rodzicach charakter dumny i niepohamowaną popędliwość, która ją przyprowadzała nieraz do utraty zmysłów.

Wydana za Alberta Habsburga zatruwała mu życie, gdyż jako dziedziczka korony węgierskiej i czeskiej po ojcu, dawała mu uczuć, że przez nią jedynie nad temi państwami panuje.

Za życia jednak Alberta nie wdawała się w sprawy państwa, zadawała się tylko prowadzeniem intryg na własną rękę. Po śmierci Alberta w grudniu r. 1439 marzyła tylko aby jakimkolwiek sposobem zjednać sobie stronników i zawładnąć tronem czeskim i węgierskim. Dwie jej córki ośmioletnia Anna i sześcioletnia Elżbieta, tronu posiadać nie mogły, który już i na nią przeszedł tylko wyjątkowo.

— Zresztą, to dziewczyny, — mówiła pogardliwie — wydadzą je za mąż, a pan zięć odsunie mnie od władzy.

I zaciskając niecierpliwie dłonie, ciężko wdychała.

Gdy oto szczęśliwy los zdawał się sprzyjać jej zamiarom.

Dnia 1-go maja 1440 r., to jest wkrótce po śmierci ojca, przybył jej syn!

— Mój Pogrobowiec, mój dziedzic korony — mówiła, patrząc z czułością i dumą na wąż niemowlę. — Będiesz królem węgierskim i czeskim! — powtarzała z tkliwością matki i dumą władczyni. — Będiesz królem, a ja za ciebie rządzić będę! — dodawała, snując dalej swoje zamiary. — Nie damy tronu Władysławowi i Kazimierzowi, którzy z ręką twych sióstr chcieli ci zedrzyć z głowy koronę! oho, nie damy! — odgrażała się, wyrzucając gniew swój długo tajony. — Będiesz nosił imię Władysława, bo to imię Węgrzy nie wiedzieć dla czego sobie upodobali.

— Będiesz ich królem! dodawała po chwili.

I odtąd myśl ta zaprzątnęła ją tak silnie, iż chwili spoczynku nie dała.

Wewnątrz kraju tymczasem wrzały niezgody a granicę szarpali Turcy, których Jan Korwin Hollos Hunyad już od wielu lat swym dzielnym odpierał ramieniem.

Jan Korwin Hollos Hunyad liczył w chwili naszego opowiadania lat 41; od szesnastego roku życia nie znał prawie, co to jest spocząć pod dachem, ogorzała twarz i gęste na twarzy blizny dowodziły jasno, iż dłoń jego roznosiła postrach wśród nieprzyjaciół w obronie ojczyzny.

Lecz ten Jan Hunyad, o ile lubionym był przez Alberta, o tyle niecierpiała go Elżbieta.

Po śmierci męża ukryła jednak swoją niechęć i przy byle zdarzonej okazji zapraszała do siebie, a nawet pozornie prosiła o radę.

*) Kruk z pierścieniem w dziobie jest herbem Hunyadów.

Korwin nie narzucał się nigdy, zajęty obroną kraju, niekiedy tylko i to w ważnych chwilach ukazywał się na dworze królewskim; Elżbieta wiedziała, że Hunyad ma zaufanie narodu, że koło niego skupiają się wielcy i mali i głos jego ma u nich największe znaczenie.

Pomimo więc, iż nie lubiła dzielnego wodza, starała się go przejednać, przez niego bowiem pragnęła trafić do umysłów, które tymczasem chciały widzieć na tronie innego Władysława.

Od chwili, gdy powzięła zamiar osadzenia na tronie maleńkiego Pogrobowca, coraz częściej zapraszała Hunyada na dwór swój, lecz zamiast przejednać go, drażniła tylko bezprzestannie swą opryskliwością i wymaganiami, które żadną

— Nie idzie w tej chwili o koronę lecz o stosunki sąsiedzkie, które świętej pamięci król nasz a małżonek waszej królewskiej mości pragnął utrzymać...

— Wam idzie o stosunki, mnie o koronę dla syna! — przerwała.

— W tej chwili najjaśniejsza pani pozwoli sobie przedstawić, iż dla jej własnego dobra trzeba albo przyjąć posłów, albo odpowiedzieć, żeby do kraju naszego nie przybywali — rzekł z uszanowaniem Hollos.

Elżbieta ściągnęła brwi i szarpiąc na sobie odzienie, przeszła się kilkakrotnie.

Nagle stanęła przed oczekującym jej odpowiedzi wodzem i z jakimś dziwnym uśmiechem rzekła:



Sanhedryn i faryzeusze. Część panoramy Golgoty Jana Styki.

miarą nie mogły się pogodzić z szlachetnym charakterem Hunyada i przynieść szczęście krajowi.

Wśród tego szamotania się królowej doniesiono jej, że z sąsiedniego kraju wybiera się poselstwo, ażeby przypomnieć układy zawarte za życia Alberta, w których starszą swą córkę Annę oddawał za żonę piętnastoletniemu Władysławowi, młodszą zaś Elżbietę bratu jego.

— Co, ja miałabym przyjąć tych posłów? — zawołała gniewnie.

— Najjaśniejsza pani, nieprzyjęcie ich byłoby obrazą dla sąsiedniego a tak życzliwego narodu naszemu państwu — ozwał się Hunyad, który, jak gdyby nic nie zaszło, na drugi dzień po opisanej poprzednio rozmowie zjawił się z tą wieścią.

— Węgry i Czesi mają naturalnego dziedzica korony w osobie syna naszego Władysława Pogrobowca — zawołała, hamując gniew swój Elżbieta.

— Niech przybywają, ale zamiast do córki, do mnie niech swaty obróć!

Hunyad nie mógł ukryć niespodzianki, jaką mu ta odpowiedź zrobiła, spojrzawszy więc na królową wzrokiem zdziwionym.

— Cóż patrzycie tak na mnie, Władysław, którego sobie na króla szykujecie, ma dopiero lat piętnaście, sam więc rządzić nie może, potrzebuje dojrzałej rady. Idę w myśl waszą, on będzie waszym królem, a ja jego opiekunką!

To mówiąc nachyliła się do stojącego w zdziwieniu Hollosa, zaśmiała mu się w twarz szyderczo i odwróciwszy się nagle wyszła.

Po twarzy dzielnego wodza przebiegł wyraz bolesny. Wyszedł też zaraz, jakby namyślając się, co dalej czynić.

I jak wczoraj królowa, tak dziś hrabia nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy. Szydercze odezwane się Elżbiety

dowodziło, iż coś nowego knuje, i że ku temu mieć musi właściwe stronnictwo. Szedł więc w głębokim zamyśleniu przez długie, pozostające w wiecznym półmroku zamkowe krużganki, gdy oko w oko spotkał się z Michlosem Gara, wojewodą, możnym panem i najgorliwszym stronnikiem hrabiów cylejskich.

Gara od pewnego czasu znikł ze stolicy, rozgłoszono, iż dla poratowania zdrowia, zaraz w początkach maja udał się do Niemiec, i że tam miał zabawić do końca roku. Teraz jakkolwiek był to dopiero lipiec, nagle się zjawił. Szedł zaś odmłodzony i tak pewny siebie, jak gdyby zamek ten nie był królewską, lecz jego własną siedzibą.

— Czołem! — rzekł, spoglądając ze słodkim uśmiechem na Hunyada.

i szybkim krokiem skierował się w stronę komnat królewskich.

— Musi wiedzieć o naszych zamiarach — myślał sobie Gara.

— Przynosi zapewne pomoc ze strony cesarza Fryderyka, bo idzie z miną nader pewną; -- pomyślał Hunyad i wyszedł z zamku.

— No, co będzie, to będzie, w końcu musi być nasza wygrana. Hrabia Cylli obiecał swą pomoc, wprawdzie hrabstwo zostanie zapewne wcielone do cesarstwa, ale cóż nas to obchodzi! Korony cesarskiej nie dostaniemy, ale ten niedołęga Fryderyk, zezwoli przecież na ukończenie i uznanie królem Czech i Węgier pogrobowca!

— A ja?



Przy krzyżu. Część panoramy Golgoty Jana i Styki.

— Czołem! — odpowiedział tenże, nie zatrzymując się wcale.

— Gdzież to tak spieszo, szlachetny hrabio? — zapytał Gara.

— Nie spieszę się, owszem, idę powolnym krokiem — odparł Hunyad, podnosząc nań swój wzrok przenikliwy.

Gara począł mrugać oczami, jak gdyby unikał spojrzenia wodza.

— To dziwne, zdaje się, że jestem zdrow zupełnie, a pozostało mi jakieś drganie w oczach — tłumaczył się.

— Choroba znać jeszcze nie uleczona, kto wie, czy wam, mości wojewodo, nie wypadnie powtórnie szukać pomocy u cesarskich lekarzy — odrzekł Hunyad, kładąc pewien nacisk na ostatnie wyrazy.

— Być może — odparł Gara. Mimo lipcowego upału, owinał się szczelnie opończą, jak gdyby coś pod nią ukrywał

— No, ja za to dziecko rządzić będę!

— A Elżbieta?

— Ją się jakoś ułagodzi; zresztą, ktoby sobie dużo zadawał kłopotu, ona będzie krzyczeć, a ja rządzić — myślał sobie Gara dochodząc do podwoi królewskich. Do swych myśli się uśmiechał i spoglądał na dwie szkatułki, które pod opończą ukryte trzymał.

— Gdy dam to bawidełko dla przyszłego króla, a to jejmości, tak się udobrucha, że odda mi w ręce cały ster rządów.

I uśmiech zadowolenia zajaśniał na jego obliczu.

— Zresztą musi; inaczej ją i dziecko лихо wezmie. — A naród? — dodał zastanawiając się nad swymi myślami; i zamiast uśmiechu chmura osiadła na jego wyniosłym czole.

(d. c. n.)

PANORAMA GOLGOTY.

W tych dniach otwartą została w Warszawie druga panorama, i to taka, której sam przedmiot budzi najwyższe zajęcie. Znany malarz krakowski, twórca wielu pięknych obrazów, Jan Styka, z pomocą grona artystów wykonał obraz, przedstawiający najważniejszą chwilę w dziejach ludzkości, chwilę męki Zbawiciela.

Twórcy Golgoty uczynili wszystko, co było w ich mocy ażeby tę chwilę odtworzyć z możliwą prawdą i doskonałością. Styka odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej i na miejscu szkicował krajobrazy okolic, w których odbyła się ta straszliwa zbrodnia. Mamy więc wiernie przedstawioną Górę Oliwną, rozdoły i płaskowzgórza otaczające Jerozolimę, a w oddali seledynowe fale Martwego morza, a za niem pasmo gór skalistych Moab.

Krajobraz stanowił jednak najłatwiejszą część zadania, bo krajobraz pozostał niezmiennym. Co najwyżej wzgórze mogły utracić swoje zadrzewienie, ale położenie ich i barwy lokalne przechowały się przez wieki.

Inaczej się rzecz ma z dziełami ręki ludzkiej, a nawet z samą Golgotą, uświęconą krwią Najświętszą. Na wzgórzu tem biorącem nazwę od wyrazu hebrajskiego *czaszka*, którą przypominało kształtem — co, też artysta uwzględnił — dziś wznosi się przybytek Grobu Świętego, a jak wiemy wszystkie chrześcijańskie wyznania roszczać sobie do niego prawo i każde ma tam swoje kaplice i kapłanów.

Cała ta dawna Jerozolima zmieniła się do niepoznania. Naprzód zdobyta przez Tytusa uległa zupełnemu zniszczeniu, a potem ileż walk tu przebrzmiało! Sam czas, jaki nas od męki Pańskiej oddziela, starczyłby do zrównania z ziemią najwspanialszych gmachów, a coż dopiero gdy ludzie tak silnie się do tego przyczynili. Odtworzenie więc dawnego miasta przedstawionego na obrazie, wymagało wielkiej archeologicznej pracy, wczytania się w historyków starożytnych oraz badania ruin i fundamentów, o ile te odnaleźć się dadzą.

Ta część także obrazu wykonaną została z niezmierną sumiennością. Więc na tle zieleni wzgórz otaczających, rysuje się świątynia zbudowana naprzód przez Salomona, założona przez Nabuchodonozora po powrocie żydów z niewoli babilońskiej, dźwigała się z ruin, ale dźwigała się powoli i nie mogła równać się okazałością z budową Salomona. Herod dopiero na 23 lata przed narodzeniem Chrystusa, zaczął ją przebudowywać, w chwili jednak śmierci Boga-człowieka nie była jeszcze ukończoną. Widzimy więc tylko marmurowe mury jaśniejące białością, przysłonione w niektórych częściach rusztowaniem. Jak wiemy, tę wspaniale wykończoną świątynię zburzył cesarz rzymski Tytus.

Po prawej stronie obrazu widać inną wspaniałą budowę o rzymskim stylu, to pałac Heroda, dalej cyrk kolisty, bo Rzymianie bez igrzysk obejść się nie mogli, i twierdzę wystawioną jeszcze dawniej którą wzmocnił znacznie Herod.

Wokoło miasta wznoszą się otaczające je mury, poza którymi znajdowała się wówczas Golgota, i dwie bramy: Gennas i Efraim — przez którą to ostatnią Zbawiciel miał być na śmierć prowadzony, będą w tej stronie. Tuż przed murami na prawo widać zbiornik wody Amygdałon; poza niem wznoszą się domostwa obronne z płaskim dachem, na których według starego zwyczaju gromadzą się mieszkańcy, dla użycia wieczornego chłodu. Nieco dalej na lewo droga, wiodąca do miasta i błonie, na którym pasą się trzody.

Słusznie uczynił artysta, iż zamiast zwykłego okręgu panoramicznego, ograniczył się do półkoła, zamykając je jakoby murami warowni. Nie przeszkadza to wcale złudzeniu a w obec przerażającej sceny, jaka się odgrywa, nikty od niej nie odwrócił oczu. Krajobraz, jak to być powinno, służy jej tylko za tło wierne i podnoszące złudzenie prawdy.

Artysta z wielką uwagą i prawdziwym uczuciem religijnym wybrał odpowiednią chwilę do obrazu swego, nie

przedstawił bowiem Zbawiciela na krzyżu, jak to zamierzał uczynić niemiecki artysta Polgheim, według którego rysunków wykonaną jest panorama, obecnie znajdująca się w Częstochowie, bo groza wywołana straszliwą męką, przedstawioną z możliwą prawdą, zatrzebaby musiała artystyczne wrażenie nie pozwalając ocenić szczegółów kompozycji. Tem mniej nadawała się do odtworzenia chwila przybicia do krzyża. Styka odmalował przygotowania do męki. Widzimy więc Zbawiciela stojącego opodal nieco od miejsca, gdzie leży krzyż, w białej szacie, z oczyma wzniesionemi do nieba, z powrozem na rękach; skupia On od razu uwagę widza. O parę kroków stoi Najświętsza Panna obok Maryi Kleofy i Maryi z Betanii, podtrzymywana przez najmilszego ucznia Chrystusa, a przed nią kłęczą Marya Magdalena z rozwianemi złotemi włosami. Z tej strony także znajduje się święty Piotr, pogrążony w rozpacz, poprzedzony przez kura, jak gdyby przypominającego mu chwilową trwogę i słabość.

Koło Zbawiciela Szymon z Cyrenei, który pomagał Mu krzyż dźwigać, obciera sobie potem zroszone czoło, przy nim dwaj pachołeta jego synowie, Alexander i Rufus, przyszli męczennicy, z dziecinną uwagą przyglądają się zebrany tłumom. Z boku stoją dwaj łotrzy, a krzyże ich już są wkopane. Ten co miał się nawrócić, Dyzma, spogląda na Zbawiciela, w jego sercu budzą się lepsze uczucia na sam widok świętej postaci, owianej urokiem boskości, drugi Gezma odwraca głowę.

Znany młody poeta, Ignacy Baliński, podpisujący się pseudonimem: Aksel, w pięknym wierszu pod tytułem: Golgota, tak opisuje tę część obrazu, przedstawioną na rycinie naszej po prawej stronie:

Patrzcie! tak wówczas skłębiły się stada,
Czarne chmur stada nad grodem Syonu,
I tak pod niemi — straszna, naga, blada
Sterczała skała sromoty i zgonu,
Dalekie góry w mgłę tonęły sinej
Czerniały góry, jary i doliny.

Tak się w ostatnich promieniach bielily
Spiętrzone gmachy i świątyń filary,
I tak płynęły tłumy, — marne pyły,
Przez bram podwoje na miejsce ofiary,
Aby oglądać w straszliwej godzinie,
Jako na krzyżu Sprawiedliwy ginie.

I tak tam stała z radością złowrogą
Kapłanów rzesza w jaskrawej odzieży,
Pretor, stróż prawa, błyskał białą togę
I lśniły włócznie nad rządem żołnierzy.
I ucni trwożna zbiła się gromadka,
Niewiasty święte i bolesna Matka.

I może, może, w jasności świetlanej,
Promienne lica podniósłszy do góry,
Tak na tem wzgórzu stanął Pan nad Pany
Nad wieńcem z cierni i szatą z purpury,
Zanim krzyż męki podnieśli oprawce
I świata na nim zawiesili Zbawcę,
Który objawił ludziom cel żywota
Ze szczytu wzgórze, co zwie się Golgota!

Po lewej stronie Zbawiciela zgromadzeni są Faryzeusze, a na ich czele Sanhedryn, wśród którego odznacza się poważny wiekiem Ananyasz i zięć jego Kaifasz. Szaweł, ten co miał później stać świętym Pawłem, toczy żywą rozprawę z jednym z Faryzeuszów, których lektyki stoją na boku przy zbrojnej służbie, co je dźwigała. W głębi Józef z Arymatei wraz z Nikodemem spogląda pełen boleści na mającą się spełnić zbrodnię.

Oprócz tych głównych postaci, o których wspominają Ewangelie, znajdują się tu przedstawiciele władzy: pretor, łysi i opasły w białej todze, przy nim liktor z pękiem różg. Ktezifon odczytuje głośno w jego obecności raz jeszcze wy-

rok skazanym a setnik Longinus konno na czele swej kohorty pilnuje porządku.

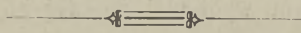
Na przodzie pod krzyżem oprawcy, krzątają się około straszliwej roboty, z obojętnością ludzi do niej przywykłych. Jeden stojąc w dole pokazuje wydobyte z niej kości, bo według podania, krzyż Zbawcy stanął na mogile pierwszych naszych rodziców, inny wydobywa młot i gwoździe, jakby dla uprzytomnienia tego, co się ma spełnić. Wokoło tłum różnobarwny, tłum, który płynie od Golgoty dwiema bramami, powodowany rozmaitemi uczuciami, najlepiej wykazuje ową głupią i okrutną ciekawością, znamionującą gawiedź po wszystkie czasy i wieki.

Toż samo widzieć można na postaciach, znajdujących się na tarasach domów, jednak z innymi odcieniami. Boski Mistrz budzi w niektórych ciekawość tylko, w innych zdumienie a wreszcie i współczucie głębokie.

Zresztą życie codzienne, niezmacone odbyć się mającym krwawym dramatem, przedstawiają pasterze na błoni, kobiety, piorące w sadzawce i podróżni jadący drogą.

Na horyzoncie tymczasem zbierają się chmury ciężkie, burzliwe, z miedzianymi odbłyskami, które wkrótce luną potokami deszczu, wybuchną gromem i błyskawicami. Nie złyły się one jednak jeszcze w jedną całość. Gdzieś tam przebijają się przez nie promienie słońca. Snop takich promieni pada właśnie na Zbawiciela i główne osoby otaczając je blaskiem uwydatniając w oczach widza, który naturalnie naprzód szuka ich wzrokiem, i może za pomocą znakomitego dzieła uprzytomnić sobie moment straszny, bolesny a tkwiący zawsze w sercu każdego chrześcijanina.

W. M.



Gordon Stables.

WYPRAWA DO GRENLANDYI

1

bieguna północnego.

(Dalszy ciąg).

Pewnego dnia ukazała się, jak gdyby chmura na horyzoncie od zachodu. Ta chmura, z początku bardzo niewyraźna, zarysowywała się coraz to dokładniej, a gdy słońce zachodziło, przybrała barwę czarną i nie przepuściła ani jednego promyka. Okazało się, że to był ląd. Właśnie wtedy całe towarzystwo wprawiało się w bieganie na „skich”, i czy to bliskość lądu, czy prąd cieplejszej wody spowodowały, ale nagle otworzyła się szeroka szczelina pomiędzy ślizgającymi się a okrętem, i gdyby nie nadesłano szybko łodzi, wyprawa mogła się skończyć bardzo smutnie, bo w jednej chwili gęsta mgła nasunęła się z południa, i przez parę godzin nic nie było widać dokoła. Ale za to było co słuchać: Widocznie gdzieś daleko przechodziły burze, tu zaś doszły tylko rozkołysane fale, które jedna po drugiej uderzały o brzeg lodowca, wślizgiwały się pod niego, podnosiły całe obszary, druzgocąc i piętrząc je jedno na drugich. Wszystko to sprawiało tak niezmierny hałas, że syreny okrętowej wcale nie było słycać.

Kiedy mgła opadła, ujrano na północ i na południe szeroki kanał wody. Marynarze wzięli się do pił, i po upływie dwudziestu czterech godzin udało im się wyrąbać statek z zapory lodowej i spuścić na morze.

Kapitan Reynolds skierował się na południe, lecz ponieważ wiatr był przeciwny, okręt posuwał się bardzo wolno.

Tymczasem wybrzeża Grenlandy rysowały się coraz wyraźniej i coraz wraźniejsze kształty przybierały marzenia

kapitana, aby przejść ten kraj nieznaną od wschodu na zachód.

Przebyli nareszcie szczęśliwie szeroki wał gór lodowych, który zamykał wyjście kanału, i znaleźli się na otwartym morzu. Tu kapitan Reynolds kazał na nowo założyć ster, który odjęto z obawy, aby go lodowce nie zdruzgotały.

Kiedy kapitan spoglądał zbliżając się na Grenlandyę, spostrzegł w wieczne lody, zaczął się obawiać, że żadna wyprawa nie zdoła przebyć wysokich gór i dostać się na wyżyny środkowe.

Wzdychał, patrząc na wybrzeże, aż Collin, stojąc obok, rzekł:

— Wiem o czem pan myśli: że pański zamiar jest nie do wykonania.

— Coś w tym rodzaju. Tylko wpierw zawsze trzeba spróbować.

— Mój wuj powtarza: „Mierz siły na zamiary” i ma rację.

— I my tak postąpimy, mój chłopcze, a zobaczysz, że nie utknijemy w pół drogi.

V.

Kapitan Reynolds uchodzi za waryata, lecz w końcu znajduje przyjaciół.

Speedy wracał do domu, i niebawem wpłynął do portu we Fraserbergh. Wrócił z pełnym ładunkiem, nie straciwszy ani jednego człowieka. Czem się chlubił Rudland Syme, chociaż marynarze przypisywali to raczej szczęśliwym okolicznościom, niż jego zasłudze.

Nastąpiły przyjęcia, obiady, które zwykle towarzyszą powrotowi statku, i na jednym z nich zapytano niespodzianie kapitana, czy nie wie, co się stało z Pelikanem, ponieważ doszły wieści, że zginął. Reynolds aż pobladł ze wzruszenia, bo jeżeli się zdarzył jaki wypadek nieszczęśliwy, to on był jego przyczyną. Opowiedział więc całe zdarzenie, a ponieważ kapitan Smart nie był lubiony, zawyroковано, że mu nie będzie.

Pomimo to wszystko, Reynolds dopiero się wtedy uspokoił, gdy ujrano na morzu Pelikana, który wzywał sternika. Dość było spojrzeć aby poznać, że mu się półów nie udało; istotnie, oprócz tych niewielu fok, które zabito w obecności kapitana Reynoldsa, nie upolowano ani jednej, i Smart widząc, że jest przedmiotem żartów, prosił o urlop i wyjechał na południe.

Właściciele Speedy zadowoleni byli z polowań i proponowali kapitanowi dowództwo na rok następny. On im na to nic nie odpowiedział, gdyż jeszcze nie wiedział, co będzie z jego wyprawą do bieguna.

Collin i Olaf spędzili lato częścią w Moira, częścią w Norwegii, dokąd zawiózł ich „Dunkan”, mały yacht Olafa. Gdy już wracali do Anglii, oddano im w Chrystianii list od Reynoldsa, który pisał, co następuje:

Zważywszy, że znaczne korzyści wynikną dla nauki z podróży przez Grenlandyę, postanowiłem ją odbyć. Nie ukrywam trudności, jakie musi napotkać wyprawa tego rodzaju, ani też zapominam, że wszystkie podróże, przedsiębrane w głąb tego kraju, nie doszły do skutku. Metoda, według której mam zamiar postępować, jest całkiem nowa, i na tem funduję nadzieję powodzenia.

Wypłynę ze Szkocyi lub Norwegii w połowie maja i udam się z towarzyszami na brzeg Grenlandy, o ile można na północ. Być może, że lodowce nie pozwolą okrętowi przybić do lądu, wtedy wysiadamy na lód i postaramy się dojść pieszo. Ale, że jak wiadomo, pola lodowe są często przerzynane przez szerokie szczeliny, musimy wziąć ze sobą łódź, abyśmy się mogli przez nie przedostać. Wylądujemy na północ od przylądka Dan, w okolicy prawie nieznannej, zamieszkałej przez Eskimosów. O ile mi wiadomo, niedaleko wybrzeża ciągnie się łańcuch górski, musimy go przebyć, go

będzie połączone ze znacznymi trudnościami, lecz po drugiej jego stronie spodziewam się znaleźć równiny, pokryte zmarzłym śniegiem, bardzo odpowiednie do jeżdżenia na „skich”.

Pierwszy nasz dłuższy etap zamierzam odbyć w Christianshaab nad zatoką Disko, gdzie wypoczniemy i zaopatrzymy się w zapasy do dalszej drogi.

W dalszym ciągu pisał, że nie wątpi, iż Collin i Olaf przyłączą się do wyprawy, i że niechybnie rachuje na doświadczenie Sigurda.

Podobny artykuł zamieścił w jednym z najbardziej rozpowszechnionych dzienników angielskich, i nie dziw, że wzbudził na zainteresowanie ogólne, ponieważ wyszedł z pod pióra zdolnego podróżnika, który pisał ze znajomością rzeczy, opierając się na własnym doświadczeniu.

Artykuł ten wywołał dysputy, sprzeczki, jedni uważali plan młodego autora za możliwy do wykonania, inni go wręcz wyśmiewali, nazywając cały ten projekt szaleństwem.

— Przypuśćmy — pisał jeden z uczonych — że ten wariat Reynolds dostanie się na wybrzeża Grenlandyi, w jakiż sposób przejdzie góry tak strome, jak skandynawskie, a w dodatku pokryte grubą warstwą śniegu? Byłaby to druga przeprawa Hannibala przez Alpy. Powiada on, że ze strony wschodniej chce się wdrzeć na te góry, aby z nich zejść na równiny, pokryte śniegiem. Projekt ten dowodzi, że autor nie ma pojęcia o istotnym stanie kraju.

Tego rodzaju krytyki były liczniejsze od pism, zawierających uznanie, to też nasi młodzi przyjaciele Collin i Olaf sami nie wiedzieli co myśleć.

Kiedy Reynolds przyjechał w jesieni do Londynu, artykułami jego już tylko niewiele osób się zajmowało, i te przyszły go odwiedzić. Byli to po większej części członkowie towarzystw uczonych, którzy, zamiast dodawać młodemu człowiekowi odwagi, wciąż mu przekładali, że projekt jego może być chyba tematem do powieści dla młodzieży, ale wykonać go niepodobna!

Reynolds nic sobie z ich rozsądnych rad nie robił, słuchał uważnie, nic nie odpowiadał, a gdy mu się już morały uprzykrzyły, zwracał rozmowę na wypadki dnia, albo pogodę.

— Przynieśli bilet dla pana — rzekła raz wieczorem służąca, właśnie po jednej z owych nudnych wizyt.

— Lord Daybreak — rzekł Reynolds — jeszcze nowy uczoney, ale ten się przynajmniej wesoło nazywa Daybreak znaczy brzask.

Lord Daybreak zasługiwał na swe nazwisko. Był to uczoney, ale uczoney nie tyle z książek, ile własnem doświadczeniem. Wiele podróżował, znał Islandyę, Norwegię, Przylądek północny, dokąd jeździł na własnym yachcie. Z jego rozpromienionej twarzy tryskała energia i odwaga.

Po krótkim przedstawieniu rzekł do naszego kapitana:

— Niech się pan nie gniewa, że wprost zapytam: Czy ma pan dosyć pieniędzy na drogę?

— To jest jedyna przeszkoda, ale mam nadzieję.

— Co tam nadzieja! To jest bardzo piękna cnota, ale ona pana nie zawiezie do Grenlandyi. Niech mi pan pozwoli wziąć na siebie wszystkie koszta.

— Nie wiem doprawdy...

— Nic pan nie mów, ja odmowy nie przyjmuję. Zawiozę was na brzeg...

— Yachtem?

— Tak, ale „Aurora” nie jest to zwykły yacht. Już trzy razy byłem na niej pomiędzy lodami, i widzi pan, że i ona i ja wyszliśmy cało. Teraz pana pożegnam, ale mam nadzieję, że się będziemy tej zimy często widywali.

Lord Daybreak sprowadził swoją „Aurorę” do Aberdeen i przez te kilka miesięcy, które go dzieliły od podróży, wzmocniał ją i zaopatrywał we wszystko, co się może przydać na północy, nie obarczając podróżnych. Codzień widziano go w towarzystwie Reynoldsa, wchodzącego na pokład yachtu, ale ciekawi musieli się zadowolnić tylko widokiem podróżników, gdyż statku nikomu nie było wolno zwiedzać.

VI.

Walka z prądem i falą.

Spotykamy znów przyjaciół naszych na oceanie między Islandyą i Grenlandyą.

Tak długo oczekiwane lato już nadeszło i chociaż na tak dalekiej północy nie jest ono zbyt wesołą porą roku, różni się od zimy ruchliwszem życiem ptaków i zwierząt podbiegunowych. Mewy w licznych gromadach przelatują nad brzegami, niedźwiedzie wychodzą ze swych jaskiń i rykiem oznajmniają, że długi post dodał im apetytu, nawet morze roi się od ryb. Płynących na południe dla złożenia ikry, lub wracających już na północ.

Przez kilka dni dał wiatr bardzo silny i morze się jeszcze nie uspokoiło. Marynarze poprawiają żagle, bo choć yacht jest parowcem, lord Daybreak nie każe palić węgla, jeśli tylko wiatr jest pomyślny.

Właśnie on sam wychodzi ze swej kajuty i, ujrawszy Collina, mówi:

— Cóż tam słyhać, mój chłopcze?

— Wiatr się uspokoił, i kapitan Reynolds powiada, że dziś możemy wysiąść na ląd.

— Ah! jakże mu spieszo, ale trzeba żeby był ostrożny.

Cezar, ogromny pies skoczył na lorda, polizał go po twarzy, a podczas gdy ten się bronił, schwyił mu czapkę z głowy i zaczął galopować po pokładzie. Za nim biegł mały Keltie i starał się go uchwycić na nogi.

— Czy się pan nie zanadto pospieszył — rzekł lord Daybreak, zwracając się do Reynoldsa, któremu Cezar odniósł czapkę — morze jest jeszcze tak wzburzone.

— O! nie, możemy zupełnie śmiało przybić do lądu, a jabym już tak pragnął dostać się na szczyt jednej z tych gór, które widzimy przed sobą.

— W takim razie niech was Bóg prowadzi.

Kapitan Reynolds kazał wynieść na pokład wszystko, co wyprawa miała zabrać ze sobą, a lord Daybreak oglądał każdą rzecz z osobna, nie zapominając ani o marynowanych konserwach ani o cieplej odzieży.

— Niech się wszyscy ubiorą do drogi i zejda się tu — rzekł w końcu.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Po ziemi i pod ziemią. — Królewicz, powieść z XV wieku przez Z. Morawską. — Panorama Golgoty przez W. M. (z ryc.) — Gordona Stables, Wyprawa do Grenlandyi i bieguna północnego (z ryc.) — Dodatek: Pracowita Zosia, wiersz (z ryc.) — Pogadanka z wujem. — Urojone strapienia. — Bracia jaszczurkowie. — Łamigłównki i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

WIECZORY RODZINNE

Pracowita Zosia.

Patrzcie, patrzcie, jak Zosieczka
Czynnie się w pokoju krząta,
Czyści książki, pudełeczka,
Zbiera, składa, słowem, sprząta.
Toż to zuch, ta nasza Zosia,
Szczotka w ręku, zmiata śmiecie,
To dopiero mi gosposia,
I cóż na to wy powiecie?
Oj, niejeden się zrumieni,
Jak piwonia, jak jabłuszko,
Gdy dojrzała już w jesieni,
No, szepnijcie mi coś w uszko.
Ja posłucham, coś poradzę,
O poprawę wszak dość łatwo,
Tylko szczerze, wszak nie zdradzę,
Śmiało, prawdę wyznaj dziatwo!
Ej, psotnicy, ej, figlarze,
Ładnież u was w pokoiku,
Czy to mama wam tak każe?
Co na półkach, na stoliku!
Nie opisze pióro moje,
Boć to arcy rzecz niełatwa,
Jakieś książki, kartek zwoje,
Wszystko razem, oj, ta dziatwa...
A czyż to nie lepiej przecie,
Złożyć wszystko, schować ładnie;
Ład, porządek duszą w świecie,
A źle, gdy się bezład wkradnie.
Jak to miło, gdy książeczki,
Tak prześlicznie oprawione,
Od ojczulka i mateczki,
W szafkach pięknie ułożone.
A pokoik, gdy milutki,
Gdy się w niem porządek świeci,
Jest piękniejszym, choć skromniutki,
Niż salony, pełne śmieci.



Bożeż drogi -- a sukienka,
Ni złocista, ni jedwabna,
Wdzięczna, świeża, choć z płócienka,
Byle czysta, byle zgrabna.
Boć nie srebro, ani złoto,
Tak ku sobie serca wabi,
Lecz porządek, co jest cnotą,
Stokroć droższą od jedwabi.
A mnie, dziatwo, czy w nagrodę,
Ktoś poprawę z was przyrzeka,
Po całusku, no, na zgodę,
Do widzenia! czas ucieka...

POGADANKA Z WUJEM.

Karpinski
Gęś — kaczka — łabędź.

— Wujku, wujku, już się przyjrzałem kaczkom, wiem teraz, jak wyglądają ich nóżki!.. — wołał Władzio, biegnąc od stawu, na którym zwykle pływało całe stado tych ptaków. — Stara Walentowa sypała im właśnie kartofle z pośladem do korytka, które tam stoi nad brzegiem stawu i jak tylko zaczęła je zwoływać, zaraz poczęły wychodzić z wody, i otrząsnąwszy trochę piórka, cisnęły się jedna przez drugą do jedzenia. Poprosiłem Walentowej

żeby mi jedną z nich schwyciła, wziąłem ją nawet potem sam do ręki i obejrzałem uważnie, chociaż biedna wystraszona krzyczała przeraźliwie: kwa, kwa, kwa! Myślała pewnie, że jej coś złego chcę zrobić, wrywała mi się z rąk, żem ją ledwie utrzymał..

— Więc to przy tem tak się zmęczyłeś, że aż całą twarz masz czerwoną? — zapytał wuj, przerywając zadyśzanemu chłopcu dalsze opowiadanie.

— Nie, wujaszku, przecież ja już jestem duży i silny, ale biegłem szybko, żeby dogonić wujka...

— Dogonić? kiedy ja tu siedzę najspokojniej na wendzie?...

— Ale gdyby wujek wstał i poszedł do stajni, albo nawet w pole, jużbym nie mógł opowiedzieć zaraz wszystkiego.

— I zapomniałbyś pewnie do wieczora — zauważył wuj, gładząc główkę chłopca.

— Albo ja wiem — możebym i nie zapomniał — odrzekł Władzio zakłopotany — tylko miałem wielką ochotę być teraz z wujaszkiem i trochę porozmawiać. Wuj by mi znowu może co ciekawego opowiedział. O, bo ja już teraz wiele rzeczy inaczej rozumiem, jak dawniej w Warszawie, kiedy się jeszcze bawiłem razem z naszą małą Marylką drewnianymi zabawkami.

— Bo też z każdym dniem starszym jesteś, a gdy główka urosła, to i rozumu w niej przybyć powinno. Ale powiedz mi, coś to szczególnego widział u kaczek?

— Kaczki, wujku, to całkiem inne ptaki niż kury, które mają u nóg palce, o tak, jak u mojej ręki, każdy osobno; u kaczek wszystkie połączone są cienutką skórką, która się rozkłada szeroko, gdy chodzą po ziemi.

— Albo gdy pływają na wodzie — wtrącił wuj.

— Tego nie widziałem, bo je wtenczas woda zakrywa, ale zliczyłem, że tych palcy choć też jest cztery jak u kur, ale wszystkie są prawie równie długie, a całe nogi są krótkie i dosyć grube.

— Dobrze nauczyłeś się patrzeć, mój mały — pochwalił wuj z zadowoleniem. — Otóż ptaki, których nogi zakończone są palcami złączonymi taką skórką czyli błoną, albo inaczej jeszcze *pletwą*, należą do działu *pletwonogich*, i wszystkie są doskonałymi pływakami, bo właśnie takie nogi służą im, nakształt wiosła, do utrzymania się i poruszania na wodzie, na której wszystkie, z małemi tylko przerwami spoczynku lub wysiadywania jaj, wyłącznie życie swe wiodą; stąd też często dajemy im nazwę *ptaków wodnych* lub *pływających*.

— Ale fruwać też umieją te ptaki pływające?

— Niektóre gatunki, szczególnie wśród żyjących na morzu, równie dobrze unoszą się w powietrzu, jak pływają po wodzie. Są jednak i takie, które, mając krótkie skrzydła, tylko niezbyt długo utrzymać się mogą na wyżynach.

(d. c. n.)

UROJONE STRAPIENIA.

(Dalszy ciąg).

W kilka dni po wyjeździe ojca mama z nami wszystkimi wyjechała do miasta, a była ciągle niespokojna, często wychodziła z domu i za każdym razem wracała smutniejsza. Często widziałam, jak zamknięta w swoim pokoju płakała rzewnie całemi godzinami, lecz gdy wychodziła do nas lub do gości, łez tych nie było śladu: uśmiechała się łagodnie i ze wszystkimi uprzejmie rozmawiała.

Po kilku tygodniach mama, wróciwszy jednego dnia z miasta, zawołała nas do siebie i zwracając się do mnie i do Józki, jako do starszych, oznajmiła nam, że musimy opuścić mieszkanie, któreśmy dotąd zajmowali, gdyż jest

ono dla nas za drogie, bo zostaliśmy zupełnie ubodzy, a nie wrócimy już nigdy na wieś, lecz zamieszkamy w mieście, i mama będzie dawać lekcye, aby w ten sposób zarabiać na utrzymanie i na naszą edukację.

Mama mówiła to spokojnie, lecz była blada, i usta jej drżały.

Mnie serce się ścisnęło, patrząc na nią.

— Ach, mamó, mamó! — zawołałam, zanosząc się od płaczu — cóż to za straszne nieszczęście!

— Nie, moje dziecko — odpowiedziała łagodnie — praca nie jest nieszczęściem, a zwłaszcza ta myśl, że będę pracować dla dobra drogiej moich dziatki, każdą pracę cięższą mi uczyni, a spodziewam się, że i wy dołożycie usiłowań, aby mię nie martwić, nie zasmucać i dobrem waszem postępowaniem sił mi do pracy dodawać.

Słowa te drogiej matki mojej głęboko utkwily mi w pamięci i zaczęłam, pomału pojmuwać, że moim obowiązkiem było osładzać jej to smutne i ciężkie życie, któreśmy mieli rozpocząć, i dopomagać jej według sił swych i możliwości.

Nazajutrz zmieniliśmy mieszkanie.

Domek, który matka wynajęła na jednej z mniejszych ulic miasta, składał się z trzech niewielkich pokojów i kuchni.

Liczna służba, która nas dotychczas otaczała, była już nadal niepotrzebna, matka odprawiła wszystkich, zostawiając tylko starą Małgorzatę, która nas wyniańczyła i była bardzo do nas przywiązana, a teraz miała pełnić obowiązki kucharki i pokojówki.

Przy takich warunkach miałam możność wypełniania swojego postanowienia i dopomagania matce w trudach nowego tego życia. To też w chwilach wolnych od nauk pomagałam Małgorzacie w zajęciach domowych, lub pilnowałam małych braciszków, starając się ich zająć i zabawić. To mię zmuszało do ciągłego zajęcia się i myślenia o innych, a z tej przyczyny nie miałam czasu zastanawiać się, czego mnie jeszcze braknie do szczęścia.

Czasem wprawdzie przyzwyczajenie brało górę, i przy łada sposobności robiłam smutną minę i na płacz mi się zbierało, lecz jedno spojrzenie matki zmuszało mię do powstrzymania łez tych i przywołania uśmiechu na usta. Nie przebaczyłabym sobie nigdy, gdybym dostrzegła, że z mojej przyczyny choć jedno zmartwienie jej przybywa.

Widziałam, że matka pracuje ciężko, może nad siły, bo, gdy po całodziennej nieobecności wracała do domu, była widocznie bardzo zmęczona, i zauważyłam, że ostatniemi czasy twarz jej bardzo pobladła i zeszczułała.

Pomimo takiej pracy, matka widać niewiele zarabiała, bo w domu coraz większy niedostatek czuć się dawał.

Nadeszła zima, a była bardzo ostra tego roku. Przynajmniej taką nam się wydawała, bo to był pierwszy rok naszego ubóstwa. Dotychczas jeszcze nie wiedzieliśmy, że trzeba rachować każdy kawałek drzewa, który się wkłada do pieca, bo go ciężką pracą zdobywać potrzeba.

Nadeszło Boże Narodzenie: braciszkowie moi, którzy nie mogli jeszcze zrozumieć różnicy naszego położenia, cieszyli się niezmiernie. Biedne dzieci! dnia tego były tak zziębnięte, że się bawić nie mogły; mroz był okropny.

Małgorzata ostatnie drzewo spaliła w kuchni dla zgotowania obiadu. Mama nie wracała coś dłużej niż zwykle, bez niej więc nie mogliśmy nawet posłać do sklepiku po wiązkę drzewa, aby ogień na kominku rozpałić.

Chłopczy przytuleni do siebie siedzieli na podłodze koło zimnego pieca i pocieszały się nadzieją przyjemności, których na Boże Narodzenie spodziewali się doświadczyć.

Młodszy Kazio mówił do Jania, że na Boże Narodzenie pewno tatuś przyjedzie i przywiezie dużo zabawek, dużo kolorowych lampek do ubrania drzewka i każe napalić w piecu, że będzie ciepło — ciepło.

(d. c. n.)

BRACIA JASZCZURKOWIE

(Dalszy ciąg).

— Wierzyć się prawie nie chce, żeby coś podobnego mogło się zdarzać w rzeczywistości — zauważyła jaszczurka.

— Wiem to z własnego doświadczenia — cierpko odparła żaba.

— Jakżeż? Kiedy ciocia ma wszystkie cztery nogi! — zachichotał Kłopotek.

— Słuchaj-no ty, smarkaczu jakiś; jeszcze mi się raz tak zuchwale odezwij, to zobaczysz. W ten moment zapakuję do łóżka. Niegrzeczne dzieci kładzie się spać.

— To nie ze złości, moja ciociu — broniła jaszczurka swego ulubieńca. — Patrzajże! Już ma łzy w oczach... już płacze. Chodź do mamy na kolanka, Kłopotuś; ciocia żaba wybaczy ci i opowie nam swoją przygodę. Daruj mu moja przyjaciółko; nie zapominaj, że to wszystko jeszcze małe, głupie, niedoświadczone... Słuchajcie uważnie, dzieciaki, słuchajcie! Na dziesięć mil w około, nie znam osoby tak mądrej i wykształconej, jak ciocia żaba.

— Ano więc — zaczęła udobruchana żaba — niektórzy ludzie, nazywają się przyrodnikami; poznać ich można bardzo łatwo po blaszanej puszcze podłużnej, zielono malowanej, do której wrzucają rośliny i owady, jakie tylko uznają za godne swej uwagi. W ten sposób niby to się uczą i stają się bardzo mądrymi. Oni tak powiadają, nie ja! Kto ma ochotę, może im wierzyć.

— Świat przecież twierdzi ogólnie, że ludzie są najmądrszymi ze stworzeń — szepnęła jaszczurka.

— Mam ja swoje powody powątpiewać o tem — rzekła żaba pogardliwie. — Przyznasz przecie kochana kuzynko, że rodzina drzewnych żabek, (bliscy nasi krewni, cioteczno-rodzeni) nie może się ani równać z nami, pod względem rozumu. Natura obdarzyła nas szczerzej — to fakt, choć się bynajmniej tem nie pysznimy. Jeżeli tedy ludzie łapią żabki drzewne, zamykają je w szklanych więzieniach i każą im sobie przepowiadać pogodę, to jasne, jak dzień, że żabki drzewne mądrsze od człowieka. Czy nie?

— Przekonałaś mnie — przyznała jaszczurka.

— Otóż, jeden taki przyrodnik złapał mnie raz i zaniósł do swego domu. Zamknięta w przezroczystym

słoju, widziałam ze zgrozą, co za okropności wyprawiał. Żaby, odarte ze skóry, (może najbliżsi moi krewni, ale poznajże tu kogo w tak oplakany stan!) żaby tedy, jak powiadam, odarte ze skóry, porozpinał, porozciągał na jakichś drucikach, przymocował do jakichś maszyn mechanicznych; nieszczęsne dawno już wyzionęły ducha, a jednak... dziś jeszcze febra mię trzęsie, jak sobie o tem przypomnę... gdy się do nich zbliżył, dotknął ich metalowych więzów, martwe członki zaczęły się poruszać dziwnym jakimś drganiem. Potwór! Mocą swych czarów, swych sztuk czarnoksięskich, przywoływał do życia martwe ciała moich nieszczęsnych współbraci*).

Zdarzyło się, że w dniu mego uwięzienia przyszła do niego młoda dziewczynka o milej, łagodnej twarzyczce i skarżyła się na odrętwienie i ból w ręce. Spróbował siły tych samych czarów i.. udało mu się! Bezładna ręka odzyskała życie. Lecząc chorą dziewczynkę, opowiadał jej, w jaki sposób ludzie wynaleźli ten cudowny środek, jak wiele nauka zawdzięcza żabom, i wskazywał na mnie, którą miał zamordować nazajutrz w celu dalszych badań nad zgłębieniem tej tajemniczej siły. Godziny moje były policzone! Ani się przed kim użalić, ani przed kim zapłakać, bo nawet krokodyl, zawieszony u sufitu ponad moją głową, był wypchany.

Zciemniło się. Zbliżała się noc, moja ostatnia noc na tej ziemi!.. Skrzypnęły drzwi, a na progu stanęła ta sama dziewczynka, którą poznałam rano. Zbliżyła się do mnie i rzekła ze słodkim uśmiechem:

— Już mnie ręka nic a nic nie boli; już mogę nią ruszać, jak zechcę; twoim to pradziadom, biedna żabko, zawdzięczam moje uleczenie. Im nie potrafię się już niczem odplacić, ale przynajmniej ciebie wypuszczę za to na wolność.

A potem dodała...

— Cóż powiedziała takiego? — spytała ciekawie jaszczurka, zdziwiona, że ciocia żaba urwała nagle.

— Powiadam ci to do ucha... przy dzieciach nie można — odparła żaba rumieniąc się. Jaszczurka nachyliła główkę, a żaba szepnęła:

— „Szkodaby cię było, ty śmieszny brzydal”. — Tak powiedziała ta niemądra dziewczynka, ale nie wzięłam jej tego za złe, zwłaszcza w mojem rozpaczliwym położeniu.

— Szlachetne masz serce, zacne serce. No i cóż dalej się stało?

— Wyniosła mię do ogrodu i puściła wolno. Uciekałam też, uciekałam! Ażem zaszła w te strony.

Dziwna ta przygoda nasunęła mi na myśl mądrą uwagę, że wielkiem jest szczęściem posiadać znakomitych i zasłużonych przodków. W jakiś czas później skomponowałam na cześć mojej wybawicielki pieśń, którą dotąd często śpiewamy. Każda zwrotka kończy się wierszem:

Wróciłaś mi życie, wolność mi oddała,
O dzięki ci, dzięki, droga rączko biała!

(d. c. n.)

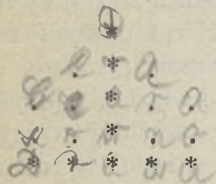
* Wspominaliśmy już dawniej w Wieczorach o doświadczeniach galwanicznych z żabami, robionych przez ludzi uczonych, a tak nazwanych od wynalazcy Galwaniego, które tu ciocia żaba uważa za czary.

S Z A R A D A.

Pierwsze wspan — to sycząca głoska w alfabecie,
Drugie — małe zwierzątko, znane w całym świecie,
 Co przed okiem człowieka w ziemi się ukrywa,
Wszystko, niekiedy ważne, to znów błahe bywa.

ŁAMIGŁÓWKA W DWUKĄCIE.

ułożył Rybak z n. Wisły dla Izy z W.



Litery oznaczone gwiazdkami złożyć powinny pionowo i poziomo dopływ Dunaju. 1) Spółgłoska. 2) Rachuba czasu w dziejach świata. 3) Dawna nazwa naczynia stołowego. 4) Miasto nad Niemnem. 5).....

ROZWIĄZANIE DO N-ru 3-go

Szarady: Et — na.

Łamigłównki w trójkącie:

K r a k u s
 R a d o m
 A n d y
 K o t
 U r
 S

Niteczki Aryadny:

Chłopiek ci ja, chłopiek, wesół w polu orzę,
 Dobrze mi się dzieje, chwala Tobie Boże!
 Z pracy nie choruję, lenistwem się brzydzę,
 Żadnej się roboty, żadnej nie powstydzę.

Skrzynka do listów.

W *Fiołku ziemi Przemyskiej* witamy nową korespondentkę, której najpierw kształtne i prządne pismo pochwalić musimy, Przyjemnie nam bardzo, że z zajęciem czytuje *Wieczory* i prosimy o dalsze udzielanie nam swych wrażeń podobnie jak w opisie wiosny.

P. E. Piotr. Pisemko francuskie, o które Sz. pani zapytuje wychodzi pod tytułem: „La poupée modéle”, podaje opisy i kroje ubiorów dla lalek i inne drobne robotki, kosztuje z przesyłką rs. 4 kop. 50.

Marzenia Różyczki z nad Pilicy spełnić się mogą, jedynie z czasem. Nie prędko to przecież nastąpi, bo jak o tem sama przekona się później, wiele się uczyć i pracować trzeba aby pisać z pożytkiem dla drugich. Zapewniamy też *Różyczkę*, że chętnie zawsze udzielamy wszelkich rad i wskazówek, i że z przyjemnością każdy jej liścik odczytywać będziemy.

Brakujące dodatki *Zdzisławowi K.* wysłaliśmy zaraz, podwójnego egzemplarza zwracać nie potrzeba. Za życzenia i miłe słowa uznania dziękujemy bardzo.

O ile tylko łamigłównki *Elusia R.* okażą się odpowiednie, będą wydrukowane. Pismo ładne i czytelne, list bardzo porządnie

napisany, czego niestety wielu korespondentom naszym przyznać nie możemy, przez zbytne zapewne pospiech ortografia i pismo wiele nieraz pozostawiają do życzenia.

W *Świerszczu* z nad Wisły witamy nowego korespondenta, ciesząc się, że *Wieczory* z zajęciem czyta. Szarada dobrze odgadnięta, przy większej wprawie i trudniejsze zadania łatwiej rozwiązywać.

Reginka Szym. przysłała dobre rozwiązanie szarady i łamigłównki z dwóch numerów. Listu z marką nie otrzymaliśmy dotąd, prosimy więc o dokładny adres, aby wysłać zagubiony numer.

Obłoczek z Częstochowy za naszym pośrednictwem przesyła podziękowanie *Nadziei* z Częstochowy za ułożoną dla siebie łamigłównkę, którą trafnie rozwiązał.

Początek powieści „Wśród chmur i słońca” wysłaliśmy *Wandzi Kar.*, *Niezapominajce* z Kamionki i *D. Wąsow.* Nowi prenumeratory otrzymują arkusze te bezpłatnie, nie ponosząc kosztów przesyłki.

W łamigłównce ułożonej przez *Świerszczka* dla Jaskółki nie możemy odgadnąć w jaki sposób odczytać początkowe litery, które nie tworzą żadnego wyrazu.

List *Sierotek Czerwonogrodzkich* sprawił nam wielką pociechę. Cieszymy się bardzo, że czytanie *Wieczorów* jest dla was taką przyjemnością, najlepszem podziękowaniem — wasza modlitwa, za którą też serdecznie jesteśmy wam wdzięczni. Mamy nadzieję, że się tak nigdy nie zdarzy, by numer poszedł pod klucz do szafki, zawsze grzeczne zasługujecie na to, by dobra Siostra czytała wam głośno powieści i opowiadania, które was tak bawią i zajmują.

August G. przysłał dobre rozwiązanie łamigłównki.

Nie mogąc wymienić każdego osobno, zaznaczamy, że dobre rozwiązania łamigłównki i szarad nadesłali: *Ignas i Miecio T. Motyl*, *Aniela R.*, *Jutrzenka*, *Sarenka*, *Świerczek*, *Irenka K.*, *Helenska W.*, *Leonek Sz.*, *Janinka W.*, *Wiolonczelista*, *Kwoczka* z Wilanowa, *Lucio* i *Wicio K.*

Ze strachem biorę dziś pióro do ręki, bo wiem, że bardzo zawiniłam w obec kochanej mojej Gałązki heliotropu, nie odpisując na jej liścik przez dwa numery. Wina w tem potrochu i Redakcyi, która nie zawsze zostawia mi dość miejsca na odpowiedź. Bywasz zanedo gadulską — mawiają, a cóż ja poradzę, kiedy mnie tak miło gawędzić z wami! Miałam wielką przyjemność, list twój odczytując, bo i ja kiedyś byłam u Ursz. znałam M. Irenę i jak ty kochałam ją bardzo. Cały czas tam przebyty stanął mi żywo w pamięci, mury klasztorne, ogród, całe otoczenie, nauki i zabawy, dobre siostry i wesole koleżanki... Z prawdziwą przyjemnością i wdzięcznym sercem przyjmę obrazek, który mi zechcesz przysłać, będzie mi on pamiątką z miejsc dawno nie widzianych. Co do wyboru książek to zdaje mi się jedno i drugie jest dobre, ale „Blichtr i złoto” więcej zajmujące.

Różowej Lewkonii Redakcyja wyszła nagrodę; starając się zadość uczynić twemu życzeniu prosiłam, aby wybrano jaką powieść twoich ulubionych autorek. Zwalczone uprzedzenie dołączone będzie do nagrody.

Konwalijce z nad Bachorzy za miły liścik i serdeczne wyrazy bardzo wdzięczną jestem. Dlaczego to siostrzyczka nie może się zdecydować na pseudonym i z tego powodu nie pisuje do Redakcyi? tyś sobie taki ładny obrała i jej powinnaś w tem dopomóc. Konwalijka to mój ulubiony kwiatek, dlatego też i ty prędko zyskałaś moją życzliwość.

List Przyjaciela zwierząt bardzo porządnie napisany otrzymałam przed kilku dniami, pospieszam więc z odpowiedzią i jednocześnie z powitaniem nowego korespondenta. Dlaczego nazywasz mnie „panią Jaskółką”, kiedy ja jestem sobie tylko „jaskółką”, do której pisząc nie trzeba nabierać odwagi, bo ona każdy wasz list wita z życzliwością. Pseudonym twój bardzo dobry, proszę cię używaj go jaknajczęściej pisując do przyjaznej wszystkim czytelnikom:

Jaskółki.